EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

Szlif

Nr 4 (175)
kwiecień 2020
Ukazuje się od roku 2002

Miesięcznik klas dziennikarskich Liceum Ogólnokształcącego nr XIII
wydawany dzięki dotacji Departamentu Edukacji Urzędu Miejskiego Wrocławia

Język muzyki

Z Wojciechem Ławnikowiczem, niewidomym muzykiem instrumentalistą i wokalistą, rozmawia Radosław Głowiak

◗ Gra Pan tylko klasykę?

– Nie, zdarzyło mi się też rozrywkę. Śpiewam piosenki esperanckie, a większość z nich jest lekka. Są oczywiście wyjątki, bo mam w repertuarze pieśni Moniuszki, a te należą do klasyki.

◗ Jaka jest różnica pomiędzy tymi dwoma gatunkami dla muzyka?

– Utwory rozrywkowe zdecydowanie łatwiej się gra, bo muzyka klasyczna przypomina robotę koronkową, trzeba jej poświęcić wiele czasu, aż technika nabierze zupełnej lekkości, swobody, tak by człowiek przestał się mylić. To pochłania naprawdę dużo czasu, dlatego jest ciężkie. W muzyce rozrywkowej nie trzeba się tak męczyć, można sobie pozwolić na pewną swobodę.

◗ Kiedy zaczęła się Pana przygoda z muzyką?

– W wieku siedmiu lat, gdy rodzice zapisali mnie do szkoły muzycznej pierwszego stopnia, choć można powiedzieć, że wcześniej, bo pierwsze melodyjki grałem na małej wiolince, kiedy miałem cztery lata.

Po wstąpieniu do szkoły rozpocząłem naukę gry na fortepianie. Następnie w tej samej placówce zaliczyłem młodzieżową klasę podstawową i średnią na gitarze klasycznej. Na obu tych instrumentach gra się inaczej, każdy ma swoją własną, odrębną specyfikę, swoje trudności i atuty, ale oba przypadły mi do gustu.

◗ Co było dla Pana najtrudniejsze w nauce?

– Przysłowiowo można powiedzieć, że najbardziej problematyczne są początki, bo trzeba przyswoić sobie wszystkie zasady związane ze specyfiką danego instrumentu. Jest to technika gry, wytworzenie pewnego klimatu, zapoznanie się z nutami. Na szczęście udało mi się wszystkie te trudności pokonać. Wbrew pozorom brak wzroku nie stwarzał dodatkowych problemów, ponieważ szybko nauczyłem się polegać na słuchu i okazało się to bardzo przydatne.

◗ Dlaczego śpiewa Pan właśnie w języku esperanto?

– Ponieważ jest to język, który nie wywyższa żadnej grupy społecznej. Uczy się go tak samo jak każdego innego języka, lecz jest w miarę prosty, można go szybko opanować i jest on międzynarodowy. Dla wszystkich ludzi. Nikogo nie poniża, łatwiej nim dotrzeć do większej liczby słuchaczy, którzy go zrozumieją. Muzyka jest językiem jeszcze bardziej zrozumiałym. Człowiek nie musi znać konkretnego języka, by wywołała ona w nim różnorakie emocje.

◗ Który z rodzajów muzyki robi to najlepiej?

– Różne gatunki muzyki są dogodne do różnych okresów życia. Mnie najbliższa jest muzyka klasyczna, dostrzegam tam wzorcowe przykłady ładnych kompozycji, które wywołują różne nastroje. Czasem są one pozytywne, czasem negatywne, jak symfonie Beethovena na przykład, ale wszystkie one mieszczą się w kanonie doznań przyjemnych. Dla każdego indywidualnie odpowiedni jest inny rodzaj muzyki, ale każdy wywołuje pewne emocje. Jest przecież muzyka taneczna pasująca na sylwester, jest muzyka rockowa, dyskotekowa, oczywiście jest też poezja śpiewana, która również jest pozytywna, ponieważ często towarzyszą jej dobre teksty, nad którymi można porozmyślać. Zarówno w rozrywce, jak i klasyce znajdzie się wiele elementów pozytywnie wpływających na słuchaczy, niezależnie od języka, jakim się posługują i kraju, z jakiego pochodzą.

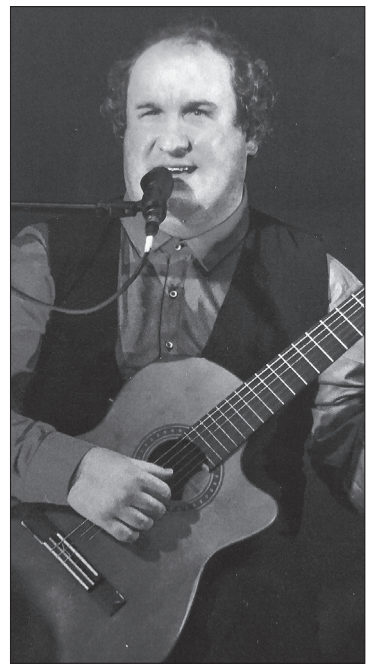

Fot. Radosław Głowiak

RADOSŁAW GŁOWIAK
radekglowiak@outlook.com

Nadodrzańskie spotkania

Wielu turystów wybiera za cel podróży Wrocław, ponieważ zachęca ich porównanie tego miasta do Wenecji Północy. Znaczne podobieństwo do Wenecji wywodzi się z dużej liczby mostów na przepływających przez Wrocław rzekach (Odra, Ślęza, Widawa, Bystrzyca, Oława). Jednakże nie tylko same mosty są atrakcją dla turystów, ale także położony nad Odrą zabytkowy Ostrów Tumski oraz budowane przy niej nowoczesne Odra Centrum.

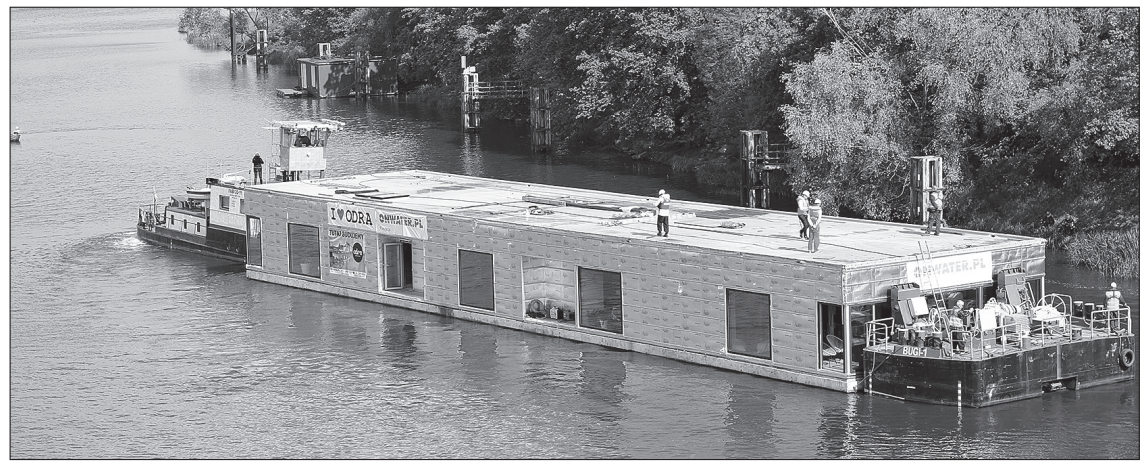

Fot. Małgorzata Ulrich-Kornacka

Korzystając z ostatniego weekendu, wybrałam się na spacer po Wrocławiu. Najbardziej oczarował mnie zimowy widok nadodrzańskich bulwarów, oświetlonych blaskiem latarni przy moście Pokoju. Idąc nabrzeżem, spotkałam grupę obcokrajowców, przybyłych do Wrocławia.

Gdyby nie zimowa pora, wielu turystów wybrałoby się pewnie w podróż statkiem po Odrze. Jest to stały punkt programu wszystkich wycieczek obcokrajowców, zwłaszcza Niemców. Brałam udział w takim rejsie latem ubiegłego roku, towarzysząc moim znajomym. Kontynuując spacer po nabrzeżu, postanowiłam odwiedzić jeszcze jedno miejsce, a mianowicie Odra Centrum, które docelowo będzie znajdować się przy moście Grunwaldzkim. Parę dni wcześniej zebrałam informacje na temat tego miejsca, a teraz chciałam je zobaczyć na żywo. Obiekt jest duży i przypomina swoją bryłą statek zacumowany przy nabrzeżu. Niestety, z powodu trwających prac wykończeniowych jeszcze nie można zobaczyć go od wewnątrz.

Wszelkie wiadomości na temat Odra Centrum pozyskałam od przewodniczki Małgorzaty Ulrich-Kornackiej, poznanej w czasie spaceru po Rynku wrocławskim. Jej opowieści zainspirowały mnie do podzielenia się zdobytą wiedzą o moim mieście. Szczególnie ciekawy wydał mi się wątek dotyczący domów na wodzie, które istnieją między innymi w Amsterdamie, Rotterdamie oraz właśnie we Wrocławiu.

Jak opowiada pani Małgorzata, Odra Centrum to drugi obiekt na Odrze, po domu na wodzie Kamila Zaremby.

– Ma się tam mieścić Szkoła na Wodzie, Odrateka, Mała Szkutnia, Akademia Węzłów i punkt informacji turystycznej na temat Odry. Odrateka jest to biblioteka, w której zostaną zebrane wszelkie materiały na temat Odry, a także punkt gastronomiczny Odra Cafe. Natomiast Szkoła na Wodzie będzie miejscem, gdzie podczas warsztatów dzieci zdobędą wiedzę o rzece, jej historii, florze i faunie. W Małej Szkutni młodzież pozna tajniki szkutnictwa i będzie mogła zbudować swoją pierwszą łódkę.

Zastanawiało mnie również, jakie ma znaczenie Odra Centrum dla naszego otoczenia.

– Budynek ma funkcję nie tylko poznawczą, ale również promującą ekologię poprzez wykorzystanie energii cieplnej rzeki i energii słonecznej. Woda z mycia rąk jest używana do spłukiwania toalet. Są tam również zainstalowane filtry, które włączą się, jeśli wyprodukowana zostanie zbyt duża ilość dwutlenku węgla.

Pani Małgorzata wspomniała również o kilku ważnych faktach, związanych z Odra Centrum.

– Twórcą obiektu jest fundacja OnWater.pl dbająca o promocję wiedzy na temat Odry, działająca od dwa tysiące trzynastego roku. Realizuje ona projekty edukacyjne i kulturalne, na przykład sprzątanie rzek, spływy edukacyjne czy warsztaty ekologiczne.

Każdy z nas może się włączyć w pomoc w sfinansowaniu wykończenia Odra Centrum, kupując cegiełkę na stronie zrzutka.pl. Myślę, że jest to szlachetny cel, ponieważ dzięki temu mamy swój wkład w ochronę środowiska oraz w promocję Wrocławia w kraju i za granicą.

WIKTORIA STAŃCZYK
wiktoriastanczyk.2004@wp.pl

GRATULUJEMY!

Karolinie Mazik
za zajęcie I miejsca
oraz
Aleksandrze Pytlińskiej
za wyróżnienie
w konkursie poetyckim portalu mlodetalenty.online oraz życzymy kolejnych, ogromnych sukcesów.

Redakcja Szlifu

Najwspanialszych chwil w gronie najbliższych, koszyka pełnego pisanek oraz wiosennych uśmiechów w nadchodzące Święta Wielkanocy życzy Redakcja „Szlifu”

Okiem Recenzenta

Ścigając czas

Zastanawialiście się kiedyś, jak to jest tańczyć walca z niewidzialną partnerką lub partnerem z twoich snów, który okazuje się jednak nie istnieć w XXI wieku? Michele Windsor, główna bohaterka powieści „Poza czasem", tego doświadczyła, żyjąc jednocześnie w teraźniejszym Nowym Jorku oraz 100 lat wcześniej w tym samym mieście. Pozornie niemożliwa i nierealna podróż do innej epoki stała się czymś, czego już nigdy nie będzie chciała zapomnieć.

Czytając książkę Alexandry Monir, sami poczujemy się jakbyśmy wylądowali w innej epoce, zwiedzając tajemnice dwudziestowiecznego świata. Wystarczy, że popłyniemy razem z nim, a na zawsze będziemy chcieli tam zostać.

Już na samym początku zostajemy wprowadzeni w ciężką sytuację głównej bohaterki, jaką jest śmierć jej matki. Z tego

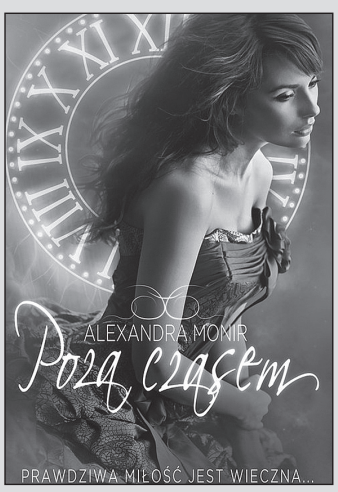

powodu Michele przeprowadza się do mieszkających w ogromnej nowojorskiej willi Windsorów dziadków, z którymi nigdy wcześniej nie utrzymywała kontaktów. Podczas asymilacji w nowym miejscu znajduje dziennik jednej ze swoich przodkiń, który z jakiejś przyczyny przenosi ją do października roku 1910. W trakcie swoich licznych podróży poznaje prawdziwą miłość, kulturę i tradycje tamtych czasów oraz odwagę i poświęcenie kobiet ze swojego rodu. Nauczyła się od nich jednej ważnej rzeczy – by nigdy się nie poddawać. „Nic na świecie nie jest w stanie cię zniszczyć, poza tobą samą. Złe rzeczy przydarzają się wszystkim, ale kiedy trafią na ciebie, nie możesz po prostu rozpaść się na kawałeczki i umrzeć. Musisz walczyć".

Alexandra Monir rozrysowuje przepiękny obraz Nowego Jorku. Nie szczędzi czytelnikowi barwnych szczegółów, dzięki którym może on stać się jednym ze spacerujących po dawnym Central Parku mieszkańców. Z emocjami opisuje każdą sytuację, wprowadzając nas w tajemnice miasta i pulsującą tam atmosferę jazzu. Możemy ją nawet usłyszeć, dzięki trzem piosenkom – „Bring The Colors Back", „Chasing Time" oraz „I Remember", które napisała sama autorka książki.

Nie jest to jednak zwykła, jednowątkowa opowieść. Osnuwa ją pewna głębsza tajemnica i śmiertelne niebezpieczeństwo, z którym Michele będzie musiała się zmierzyć. W pewnym momencie nie pozostanie jej już nic, tylko walczyć.

KAROLINA MAZIK
karomazik@gmail.com

Utracona perła

Niektóre obiekty architektoniczne tak zrosły się z miastem, w którym stoją, że jesteśmy w stanie je rozpoznać o każdej porze dnia i nocy. I tak Wieża Eiffla stała się wizytówką Paryża, Most Karola symbolem czeskiej stolicy, a antyczne piramidy nieodparcie kojarzą nam się z Egiptem. Jednak wiele zabytków z różnych powodów nie dotrwało do dzisiejszych czasów. Przez to niemożliwe jest podziwianie monumentalnego, rzymskiego Circus Maximus czy klasycystycznego Pałacu Saskiego w Warszawie. Również we Wrocławiu jeszcze 100 lat temu stały budowle, po których obecnie niemal nie ma śladu.

Dziś w naszym mieście czynne są dwie synagogi umiejscowione tuż obok siebie: Mała Synagoga, powstała tuż po drugiej wojnie światowej, oraz najsłynniejsza Synagoga Pod Białym Bocianem. Obydwie znajdują się przy ulicy Pawła Włodkowica. Jednak nie zawsze tak było. W dawnym Breslau działało znacznie więcej żydowskich świątyń. Szczególnie zaś wyróżniała się jedna z nich.

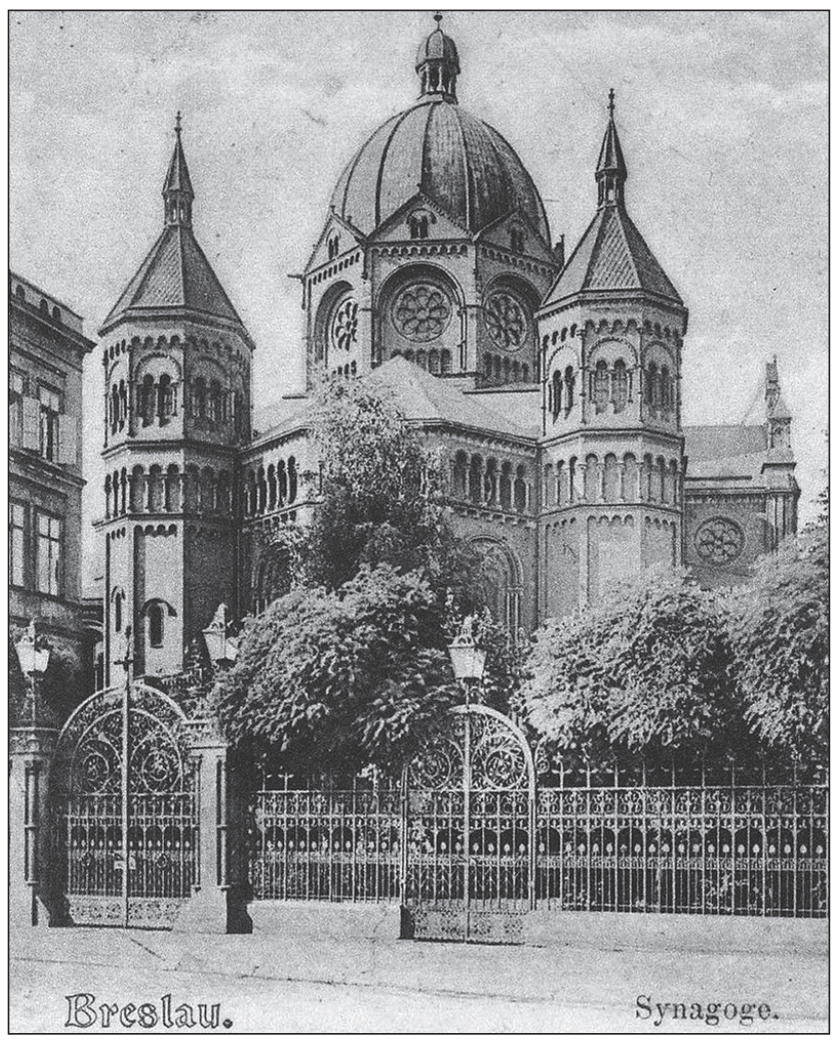

Zapomniane arcydzieło

Być może ciężko sobie nam to wyobrazić, ale między dzisiejszą Renomą a Komendą Wojewódzką Policji, w otoczeniu fosy miejskiej i Teatru Miejskiego (dzisiejszej Opery Wrocławskiej), stał obiekt, który swą wysokością nawet dziś górowałby nad wszystkimi budynkami w tamtym rejonie – Nowa Synagoga zwana też „Synagogą Na Wygonie". Świątynia ta, której najwyższa kopuła mierzyła aż 73 metry, została zaprojektowana przez niemieckiego architekta żydowskiego pochodzenia – Edwina Opplera. W chwili planowania swego sakralnego opus magnum był już dość znany, głównie ze swoich budowli w Hanowerze. Wszystkie prace zakończono w roku 1872 i wtedy też nastąpiło uroczyste otwarcie. Przestronna sala modlitewna mogła pomieścić niemal 2000 wiernych, co plasowało synagogę na drugim miejscu pod względem wielkości w Niemczech. Zbudowana na planie wydłużonego prostokąta w mieszanym stylu, wykorzystującym zarówno elementy neogotyckie, jak i neoromańskie, zachwycała wszystkich, którzy mieli okazję ją zobaczyć na żywo. Podobnie jak wspomniane egipskie piramidy, stała się niejako wizytówką Breslau. Jednak świetność tej budowli nie trwała długo. Skończyła tragicznie jak większość judaistycznych świątyń – została podpalona podczas „nocy kryształowej" w 1938 roku i doszczętnie spłonęła. Strażacy, będący na miejscu wydarzeń, nie próbowali jej gasić. Ich zadaniem było pilnowanie, by ogień nie rozprzestrzenił się na okoliczne zabudowania. Obecnie w tym miejscu stoi niewielki pomnik, upamiętniający to architektoniczne dzieło. Zostały po nim jedynie nieliczne czarno-białe zdjęcia i litografie, które i tak pokazują nam ogrom tej budowli.

– Bardzo lubię czytać o starym Wrocławiu, o tym, jak się rozwijał i zmieniał na przestrzeni wieków – mówi Marcin Cholewa, student Uniwersytetu Wrocławskiego. – Nieistniejące dziś budowle, które możemy podziwiać na kopiach starych pocztówek lub starych fotografiach, często konfrontuję ze współczesnymi realiami. Z przykrością muszę przyznać, że zdecydowanie bardziej urzeka mnie dawna panorama miasta. Wtedy liczyła się sztuka, dziś jedynie fuknc jonalność. Jeszcze parę lat i zabytki wrocławskiej architektury znikną w gąszczu szklanych biurowców.

Dziś możemy tylko gdybać,

jak by wyglądała ta okolica, gdyby budynek ocalał. Niestety, już nigdy się tego nie dowiemy. Warto jednak pamiętać o tym, że w miejscach, do których obecnie chodzimy ze znajomymi na kawę, kiedyś mogło stać co innego. Poszerzajmy swoją wiedzę zarówno na temat historycznego wyglądu miasta, jak i teraźniejszego. Kto wie... może właśnie mieszkasz na gruzach budowli, która jeszcze 100 lat temu zapierała dech w piersiach i nawet o tym nie wiesz?

ALEKS STADNICKI
aleksstadnicki@interia.pl

Po co mówić, skoro można śpiewać?

W ciągu ostatnich 90 lat zdążył zawładnąć sercami publiczności i zostać zapomniany. Za sprawą popularności zdobywcy Oscarów, filmu „LaLa Land" i zeszłorocznego kandydata do ośmiu statuetek „Narodziny gwiazdy" przeżywa drugą młodość.

Początek musicalu nastąpił w 1927 roku, kiedy to w Nowym Jorku zadebiutował spektakl „Show Boat". Grana do 2016 roku sztuka była efektem połączenia uwielbianych w tamtych czasach Burleski, Extravaganza, Minstrel-show, Vaudeville, Rewii, Operetki, Komedii muzycznej oraz jazzu, bo jak stwierdził niemiecki muzyk Schmidt-Joss „dopiero fragment jazzu, który posklejał muzykę teatralną, uformował nową harmonię wszystkich elementów".

W świecie sztuki teatralnej i filmowej zaczęto tworzyć na masową skalę produkcje takie jak „Mężczyźni wolą blondynki", „Deszczowa piosenka", „Skrzypek na dachu" czy „Hair", które uzyskały miano kultowych i po dziś dzień dzielą ludzi na dwa obozy:

miłośników i przeciwników

– Uważam, że musicale są nienaturalne, tworzone na siłę i tandetne. Może kiedyś robiły wrażenie, ale szkoda mi czasu na oglądanie ludzi tańczących i śpiewających na ulicy – mówi Monika Wiatrak.

Można powiedzieć, że tym, czego nie lubią przeciwnicy tej sztuki, drudzy się zachwycają. W wywiadzie dla portalu e-teatr.pl, dyrektor Teatru Muzycznego w Poznaniu powiedział : „Zafascynowałem się musicalem dlatego, że jest tak komunikatywny i mówi dzisiejszym językiem. I nawet jeżeli jest tylko bajką, w sferze muzycznej jest nam bliski, czytelny. Nie uwspółcześnia estetyki z zamierzchłych czasów, nie eksperymentuje czy prowokuje na siłę, choć zmienia się i dopasowuje do swoich czasów. […] Wciąż się rozwija, a ciekawe, cenne treści może transmitować na bardzo szeroką skalę".

Młodzież i musical

Kiedy w 2006 roku w telewizji pojawił się film „High School Musical", dzisiejsze licealistki miały około sześciu lat i jak same mówią, oglądały i uwielbiały tę produkcję.

– Znałam wszystkie piosenki na pamięć – mówi Kinga Okulewicz, uczennica Liceum XIII we Wrocławiu. – Chociaż teraz patrzę na niego z przymrużeniem oka, to mam do „High School Musical" ogromny sentyment. Myślę, że jeszcze nie do końca świadomie, ale już wtedy zakochałam się w musicalu.

Chociaż beztroskie dzieciństwo już minęło, to zauroczenie tym gatunkiem nie. Niektóre nastolatki jeśli tylko mają możliwość, uczęszczają na spektakle muzyczne do teatrów, chociażby wrocławskiego Capitolu.

– Widziałam wszystkie tamtejsze przedstawienia – stwierdza Monika Mikosik. – Kiedy natomiast nie starcza budżetu czy czasu, to po prostu oglądam filmowe adaptacje lub słucham dostępnych na muzycznych serwisach streamingowych soundtracków.

W ciągu ostatnich 100 lat powstały setki sztuk muzycznych. Na podstawie filmów, książek i prawdziwych historii. Dzięki temu, że powstaje ich aż tyle, każdy ma szansę znaleźć coś dla siebie.

– Moje ulubione musicale? – zastanawia się Monika. –To przede wszystkim „Notre Dame de Paris" niekonwencjonalnie ukazujący wszystkim znaną historię dzwonnicy Notre Dame. „Jesus Christ Superstar" przedstawiający ostatnie dni życia Jezusa za pomocą rockowych piosenek oraz niepowtarzalny „Hamilton", dzięki któremu nie dość, że pokochałam postać Aleksandra Hamiltona, to dowiedziałam się niezmiernie dużo na temat powstania Stanów Zjednoczonych.

Mimo że wielu uważa je za obciachowe, musicale mają wierne grono fanów, które z roku na rok rozrasta się coraz bardziej, bo jak pisze w swojej książce „Ale musicale!" Daniel Wyszogrodzki: „Musical chwyta widza za serce. Tego cynicznego, znieczulonego i obojętnego widza czasu ponowoczesnego. Czasami bawi do łez, czasami wyciska łzy i często zapiera dech w piersiach".

JULIA BORSKA
julia.borska@onet.pl

Poezja współczesności

Rozmowa z Przemkiem Łabudą, młodym raperem

◗ Czy nazwałbyś się poetą?

– Zdecydowanie nie. Poezję z rapem łączy to, że tworzy się tekst, który ma wersy i rymy, ale to tylko tyle. Poeta kojarzy mi się jedynie z wierszami, z kimś poważnym, a ja po prostu piszę tekst i go nagrywam, gdy mam na to ochotę, wyrażam w ten sposób siebie.

◗ Jak narodziła się ta pasja?

– Rap był w moim domu od dawna. Gdy byłem dzieckiem, brat puszczał go z głośników, a mnie się spodobał i tak zostało. Pewnego razu z kolegą nagraliśmy na siebie dissa, czyli kawałek, w którym siebie obrażamy. Nie pamiętam nawet, jak to wyszło, zrobiliśmy to dla żartów. I tak ruszyła maszyna. Zacząłem tworzyć jeden utwór, potem kolejny i w ten sposób pokochałem to.

◗ Masz już na swoim koncie pierwszy teledysk.

– Tak. Myślałem o nim już wcześniej, ale nagrywając tracki, każdy kolejny wydawał mi się lepszy od poprzedniego, przez co strasznie się to przedłużało. W końcu uznałem, że muszę już to zrobić. Zebrałem znajomych, zrobiłem sesję zdjęciową, nagrania do klipu trwały dwa dni, a potem został tylko montaż. Pamiętam, jak jeszcze tego samego dnia, gdy miałem udostępnić go, usunąłem całą zwrotkę i nagrałem ją od nowa, bo coś mi nie pasowało, a chciałem, żeby wyszło jak najlepiej. Widocznie była to słuszna decyzja, bo track zebrał już prawie tysiąc wyświetleń.

◗ Skąd czerpiesz inspiracje?

– Głównie z życia i z tego, co dzieje się wokół mnie. Mając ochotę zrobić wesoły kawałek, piszę o dobrych rzeczach, które mnie otaczają, a gdy smutny, to o tych złych.

◗ Jest mnóstwo młodych artystów. Wierzysz w swój sukces?

– Kim bym był, gdybym nie wierzył? Nigdy się czegoś nie osiągnie, nie mając pewności siebie. Szczerze, to ja nawet nie mam nadziei, że zostanę sławnym raperem, ja to wiem. Wiem, że będę dawał koncerty, nagrywał płyty i wydawał kawałki, które zdobędą miliony wyświetleń. Mam osoby, które mnie w tym

Fot. z archiwum Przemka Łabudy

wspierają i motywują. Chcę, żeby rap był moim sposobem na życie, na zarabianie pieniędzy. Uważam, że osiągnę sukces, a liczba osób, które chcą się wybić, pokazuje mi, jak wysoko postawiona jest poprzeczka.

◗ Czy mimo wszystko masz plan awaryjny?

– Oczywiście. Jestem typem człowieka, który zawsze ma drugi plan. Aktualnie jestem na profilu technika informatyka, więc jeśli nie wybiję się w muzyce, to zostaje mi ta ścieżka. Nawet jeżeli zostanę raperem, to jest to moje zaplecze, bo jak wiadomo, kariera zawsze się kończy, więc zawód informatyka umożliwi mi przeżyć resztę życia.

◗ Zjawisko hejtu jest powszechne wśród początkujących. Jak reagują na Twoją twórczość znajomi i rodzina?

– Hejt jest głupią rzeczą, którą nie należy się przejmować. Tylko osoby, które są słabe psychicznie lub mają niską samoocenę, biorą to do siebie, a ja do nich nie należę. Nie zamierzam zostać w tyle przez ludzi, którzy nie mają własnego życia, więc próbują psuć je innym. Z początku nikt nie traktował mojej twórczości poważnie. Z czasem, gdy poprawiłem się lirycznie i rytmicznie, gdy zacząłem podejmować poważniejsze decyzje, jak sesje zdjęciowe czy nakręcenie teledysku, inni zaczęli dostrzegać, że to moja prawdziwa pasja i wspierali mnie, nawet osoby, które nie słuchają takiej muzyki. Rodzice cieszą się z moich sukcesów, udostępniają moje tracki i motywują.

◗ W rapie rolę podkładu muzycznego odgrywają stworzone w programie komputerowym bity. Muzyka bez instrumentów to nadal muzyka?

– A od czego muzyka się wywodzi? Kiedyś ludzie uderzali w co popadnie i czym popadnie. Instrumenty to tylko jeden ze sposobów na jej tworzenie, a nie sama muzyka. Nic nie zmienia, czy robisz to w programie komputerowym, czy na żywo. Przecież nawet beatboxing, który polega na tworzeniu dźwięków za pomocą narządów mowy, nadal jest muzyką.

NATALIA BRZUZY
nataliabrzuzy@gmail.com

Szepczący w sieci

Już jakiś czas temu na zagranicznym YouTubie stał się popularny trend nagrywania filmików w dość nietypowy sposób – szepcząc. Twórcy starali się zrelaksować i uśpić swoich widzów w dobrym tego słowa znaczeniu, używając tak zwanych wyzwalaczy.

ASMR to inaczej zjawisko odczuwania mrowienia, ciarek lub dreszczy na całym ciele spowodowane przez słuchowe lub wizualne bodźce zewnętrzne. Polega to na tym, że twórcy, nagrywając film, szepczą lub mówią w bardzo cichy i przyjemny dla ucha sposób. Zazwyczaj siedzą tak blisko kamery, aby widz poczuł się komfortowo, a tło jest jednolitego koloru, ponieważ w innym przypadku mogłoby ono rozpraszać oglądającego.

– Słuchałam ASMR z czystej ciekawości, nie byłam pewna, czy w ogóle się to u mnie sprawdzi – mówi Kamila Modrzejewska, uczennica Liceum Ogólnokształcącego nr XII. – Nie liczyłam na wiele, przeglądając te wszystkie amatorskie wideo, jednak po jakimś czasie trafiłam w końcu na coś, co naprawdę mnie wciągnęło i rzeczywiście poczułam przyjemne ciarki na szyi i ramionach. W związku z tym zdecydowałam się spróbować zasnąć i ku mojemu zdziwieniu udało mi się znacznie szybciej niż zazwyczaj.

Twórcy podczas nagrywania starają się stworzyć przyjemną atmosferę z pomocą dodatkowych dźwięków jak drapanie, szuranie czy odgłosy uderzania o siebie palców. Niektórzy z nich odgrywają również scenki takie jak: wieczór w spa, makijaż u przyjaciółki lub wizyta u lekarza.

– Najbardziej podoba mi się, kiedy podczas oglądania słyszę szepty lub stukanie – mówi Elena Świtaj, uczennica Liceum Ogólnokształcącego nr VIII. – Z doświadczenia wiem, kiedy robi to amator, a kiedy prawdziwy profesjonalista, dlatego z reguły zaczynam się odprężać dopiero przy bardziej dopracowanych filmach. Poza szeptaniem lubię również oglądać, gdy youtuber zaprasza do swojego odcinka drugą osobę. Umieszcza na jej ubraniu mikrofony, co powoduje, że podczas gdy czesze jej włosy, ze słuchawek wydobywa się identyczny głos, a ja mogę poczuć się, jakbym była na jej miejscu.

Poza zwolennikami

są również przeciwnicy, którym po prostu nie podpasowała cała idea szeptania lub najzwyczajniej nie odczuwają ciarek i nie rozumieją, dlaczego innym mogłoby się to podobać. Istnieją także przypadki, kiedy widzowie czują dyskomfort spowodowany różnymi odgłosami będącymi tak blisko uszu.

– Moja przyjaciółka puściła mi kiedyś na lekcji jeden z filmów o tematyce ASMR z przekonaniem, że na pewno spodoba mi się to tak jak i jej – mówi Kuba Niessner, uczeń jednego z wrocławskich liceów. – Byłem od początku sceptycznie do tego nastawiony i tak jak myślałem – nie zadziałało. Całe wideo było dla mnie sztuczne, a jednocześnie przerażające i zdecydowanie nie zamierzam oglądać nigdy więcej tego typu filmików.

ASMR w Polsce

jest nadal dość kontrowersyjnym tematem, a zdania wielu młodych ludzi są w tej sprawie podzielone. Jedni czerpią przyjemność z oglądania, a drudzy są sceptycznie do tego nastawieni. Istnieje również trzecia grupa, która nie zdaje sobie sprawy z istnienia czegoś takiego jak ASMR. Wielu z nich spędza kilka godzin zanim uda im się zasnąć, a kto wie, może gdyby zaczęli oglądać, nie mieliby takich problemów?

JULIANNA GĘBALA
juliannagebala@gmail.com

Rolnicy na wsi? Niemożliwe!

Wieś kojarzy się z sielanką. Mały domek, poletka warzyw w ogródku, spokojne życie poza zgiełkiem miasta i wyścigiem szczurów w korporacjach. Jak jest naprawdę? Polska wieś bardzo się zmieniła i coraz mniej przypomina miejsce, którym kiedyś była, ale nadal zachowuje swoją specyfikę miejsca pracy rolnika.

Jednak mieszkańcy, którzy sprowadzili się na tereny wiejskie z miast, chyba nie pojmują wszystkich konsekwencji związanych z ową specyfiką. Bardzo chętnie osiedlają się poza wielkimi miejscowościami jak Wrocław, chcąc uciec od ulicznego gwaru i zbyt szybkiego tempa życia. Kiedy jednak ich wyobrażenia zderzają się z rzeczywistością, kończy się to niepotrzebnymi nerwowymi sytuacjami. Są oni strasznie zawiedzeni i myślą: „gdzie jest moja cisza i spokój, po to się tu przecież przeprowadziłem".

Masz babo placek!

Przede wszystkim miastowi nie rozumieją realiów panujących na wsi. Nie pojmują, że pole samo się nie zasieje, krowy, a tym bardziej ich odchody, nie będą pachnieć fiołkami, a żniw nie można „przeskoczyć". Często zdarza się, że pochodzący z miast mieszkańcy wzywają policję i skarżą się m.in. na naruszanie ciszy nocnej, a rolnicy otrzymują mandaty za zakłócanie porządku publicznego. Jak twierdzi wiceminister rolnictwa Szymon Giżyński w rozmowie z „Tygodnikiem Poradnik Rolniczy", jest to nadinterpretacja przepisów i powołuje się na orzecznictwo Sądu Najwyższego, według którego „zakłócenie porządku publicznego to wywołanie stanu, który w danym miejscu i okolicznościach, zgodnie z przyjętymi zwyczajami, uważa się za nienormalny".

Fot. Natalia Sosińska

– Na wsi panują odmienne od miejskich osiedli mieszkaniowych, powszechnie obowiązujące normy zwyczajowe – przekonuje Szymon Giżyński. – Tym samym nie powinno być odbierane jako odbiegające od norm zwyczajowych wykonywanie pracy do późnych godzin nocnych, chociażby podczas żniw.

Ość w gardle

Ludzie, którzy przeprowadzają się z miasta na wieś, powinni zdawać sobie sprawę, że nie jest to ich prywatne uzdrowisko, że tutaj pracują ludzie, dzięki którym możemy codziennie kupić świeże bułki w sklepie i potrzebują warunków, w których nie będą nękani nasyłaną policją.

Jako wspólnota powinniśmy troszczyć się o dobro nas wszystkich, a nie tylko swój interes. Oczywiście nie wszyscy miastowi składają się na tę problemową grupę, ale są wcale nierzadkie przypadki ludzi z miasta, którzy stają ością w gardle społeczeństwu wiejskiemu, próbując zaprowadzić swoje miejskie porządki w miejscu o zupełnie innej specyfice, rządzącym się swoimi prawami. Każdy, kto zamierza zamieszkać na wsi, powinien dostosować się do tych realiów i żyć w zgodzie ze swoimi sąsiadami.

HUBERT GANCARCZYK
hubert.gancarczyk@interia.pl

Sportowa szlifierka

Zakrzywiony sport

Coraz częściej słyszymy o nowo powstałych, szalonych dyscyplinach sportowych. Polo na słoniach, szachowy boks, siatkówka na trampolinach to pierwsze z brzegu przykłady, jednak żadna z nich nie wyszła poza obręb zabawnej ciekawostki. W 2014 roku wydawało się, że kolejną taką konkurencją będzie wymyślony przez Węgrów teqball, czyli połączenie piłki nożnej i tenisa stołowego.

Zasady gry są proste. W meczu biorą udział dwie lub cztery osoby ustawione przy zakrzywionym stole do ping-ponga. Celem jest przebicie piłki na stronę przeciwnika tak, aby ten nie był w stanie jej odbić, mając na to trzy dotknięcia. Dyscyplina szybko dorobiła się sporego grona entuzjastów. Głównym ambasadorem został jeden z najlepszych piłkarzy w historii, Ronaldinho Gaucho. Zaczęto organizować turnieje krajowe i międzynarodowe. Wiele profesjonalnych drużyn piłkarskich wprowadziło już do swoich treningów tę grę jako uzupełnienie i urozmaicenie zajęć.

Fot. z oficjalnej strony qball.pl

Przeszkodą pieniądze

Największą barierą dla rozpowszechnienia tego sportu wśród młodych ludzi są koszty. Do grania w piłkę niewiele nam potrzeba, zakładamy trampki, ktoś bierze ze sobą futbolówkę i tyle. Natomiast cena najtańszego stołu do teqballa wynosi około 10 000 złotych i nie da się go zastąpić żadną tańszą alternatywą.

– Jest to główny powód, przez który jeszcze go nie zakupiliśmy – mówi Przemysław Piekielny, trener drużyny Śląska Wrocław do lat szesnastu. – Niby znaleźlibyśmy pieniądze w budżecie, ale trochę szkoda wydawać aż tyle na coś, co może być dla nas tylko dodatkiem. Poza momentami, gdy udaje nam się wypożyczyć stół za symboliczne sumy, wolimy pograć w siatkonogę. Nie jest ona aż tak efektowna jak teqball, ale przynajmniej nie wymaga żadnych dodatkowych wydatków.

Poprawa techniki

Dwaj przyjaciele, Gabor Borsanyi i Viktor Huszar, uznali, że w ostatnich latach futbol stał się zbyt agresywny przez to, że zawodnicy są słabi technicznie i w ten sposób próbują ukrywać swoje braki. Teqball miał je uzupełnić.

– Tak jak wspomniałem, na razie tylko wypożyczamy stół do teqballa – kontynuuje trener Piekielny. – Jesteśmy jednak bardzo zadowoleni z efektów, jakie podczas pracy z nim uzyskujemy. Zawodnicy mają okazję do zabawy z piłką i przećwiczenia różnych elementów piłkarskiego rzemiosła poza murawą, dzięki czemu później na boisku są pewniejsi siebie i kreatywniejsi. Przez ciągłą pracę na nogach i podbijaniu piłki w niestandardowych pozycjach doskonalą także koordynację.

Na Mistrzostwa Świata 2018 w piłce nożnej aż 17 drużyn wzięło ze sobą stół do teqballa, między innymi Francja, Chorwacja i Polska. Co prawda naszym reprezentantom nie pomogło to w wyjściu z grupy, lecz dwie pierwsze wymienione drużyny spotkały się w finale turnieju. Gdyby promotorzy i producenci teqballa znaleźli sposób na obniżenie cen stołów, mógłby on zostać stałym elementem treningów większości drużyn piłkarskich, a popularność samej gry z czasem znacznie by się zwiększyła.

PATRYK KIDOŃ
p-kidon02@o2.pl

Felieton Szlifu

Czy sprawdziłam wszystkie kontakty?

Każdy, kto oglądał kultowy już film „Dzień świra", dobrze zna scenę, gdy Adam Miauczyński robi wszystko po siedem razy, przykładowo siedem razy miesza cukier w herbacie lub wsypuje siedem garstek płatków do miski na śniadanie albo gdy zaczyna daną czynność o pełnej godzinie („w najgorszym razie o wpół do"). Wszyscy mamy swoje własne natręctwa, ale czasami okazują się one czymś więcej niż ulubionym miejscem w autobusie lub stałym schematem układania ubrań czy książek.

Zawsze, gdy wychodzę z domu, chwytam za klamkę od drzwi wejściowych trzy razy, aby sprawdzić czy są zamknięte. Potem obracam się i robię to jeszcze raz, tak dla pewności. Przed zamknięciem drzwi sprawdzam dwa razy całe mieszkanie i potem pięć razy ten sam kontakt, jakbym bała się, że wtyczka od prostownicy sama z siebie z powrotem do niego wskoczy.

Niektóre zwyczaje w naszym codziennym życiu, mimo że bywają irytujące, są normalną jego częścią. Pewnym przesądem, na jakim przyłapuje się czasami każdy z nas. Większość tych natręctw polega na niepokoju przed niewykonaniem danej czynności, na przykład przeczytanie do końca rozdziału książki lub sprawdzenie, czy budzik nastawiony jest na dobrą godzinę, mimo iż zrobiło się to już wcześniej.

Jednak jak się okazuje, mogą one stanowić tak zwaną nerwicę natręctw, czyli zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Zaliczają się do nich nie tylko ciągle powracające pewne zachowania, ale także myśli.

„Leczenie z reguły przebiega dwutorowo, łącząc psychoterapię z farmakoterapią" – wypowiada się pani Alicja Rutkowska-Suchorska, doktor specjalizująca się w terapii nerwicy natręctw, w artykule na stronie medonet.pl. – „Psychoterapia może mieć różne formy, ale najczęściej stosuje się terapię poznawczo-behawioralną, której celem jest identyfikacja i wygaszanie błędnych przekonań. Leczenie farmakologiczne to dość duże dawki leków przeciwdepresyjnych. Natomiast w najcięższych przypadkach stosuje się psychochirurgię. Najważniejszy jest początek terapii, czyli dokładny wywiad i postawienie diagnozy. Potem przekazuje się pacjentowi wiedzę na temat zaburzenia".

– W moim przypadku nerwica natręctw objawia się wieloma myślami, które nie dają mi spokoju – mówi Paulina, uczennica wrocławskiego liceum. – Często pojawiają się one z niewyjaśnionych dla mnie przyczyn. Na przykład czasami czuję, że „muszę" dotknąć jakiejś części swojego ciała albo sprawdzić, czy książki są ułożone prosto. Nie odejdę też z jakiegoś miejsca, jeśli na odchodne nie popatrzę na nie co najmniej dwa razy. Bywają też myśli „co by było, gdyby", które nierzadko są bardzo specyficzne. Według mnie to kwestia przyzwyczajenia. Owszem, często przez to rozglądam się wokół siebie, czy przypadkiem nikt na mnie nie patrzy, albo powoduje to zbędny stres, lecz w większym stopniu nie utrudnia mi to funkcjonowania.

Możliwości objawów zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych jest tyle samo, ilu ludzi chorujących na nie. Mogą one przybierać różne postacie – na przykład nieustające poczucie niepewności, obsesje seksualne lub myśli sprzeczne ze światopoglądem. Chora na nerwicę natręctw może być zarówno osoba, która przez cały czas stara się utrzymywać perfekcyjny porządek w swoim otoczeniu, jak i osoba o obsesyjnych myślach, że za chwilę wykona czynność, której nie chce zrealizować. Jednak nie wszystkie przyzwyczajenia są objawami tej choroby. Dlatego póki nie myślimy przez 24 godziny na dobę o tej jednej, asymetrycznie ustawionej książce na półce gdzieś na strychu, możemy być spokojni.

ALEKSANDRA PYTLIŃSKA
ola.pytlinska112@gmail.com

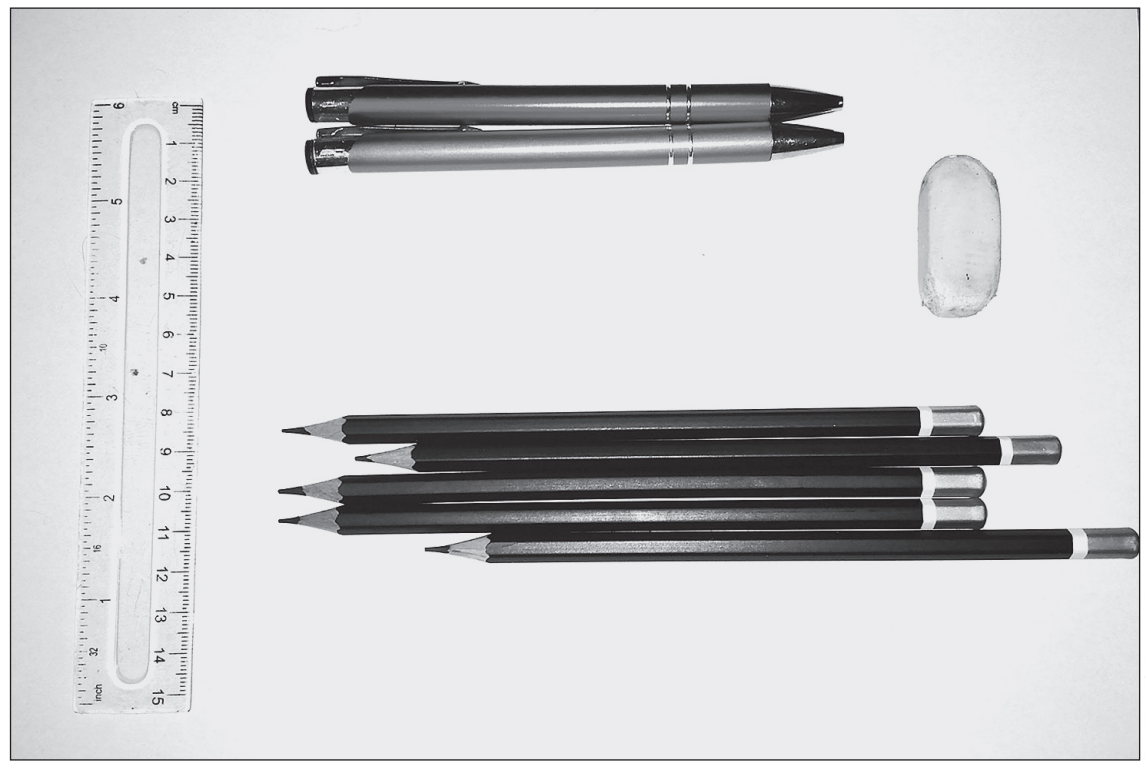

Fot. Natalia Ługowska

Szlif

Adres redakcji: ul. Haukego-Bosaka 33, 50-447 Wrocław; www.lo13.wroc.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

Materiały przygotowują klasy dziennikarskie Liceum Ogólnokształcącego nr XIII – pod patronatem Stowarzyszenia Dziennikarzy RP Dolny Śląsk
Opiekun: Wojciech Chądzyński
Redagują:
Karolina Mazik – karomazik@gmail.com
Daria Trzasko – daria-trzasko@wp.pl
Szefowa fotoreporterów: Lilianna Patron
Przygotowanie do druku i druk:
Drukarnia I-BiS
tel. 71 342 25 17, www.i-bis.com.pl